Nr. 17 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 1 września 1930 | Rok 52

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartana wkładka d a członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

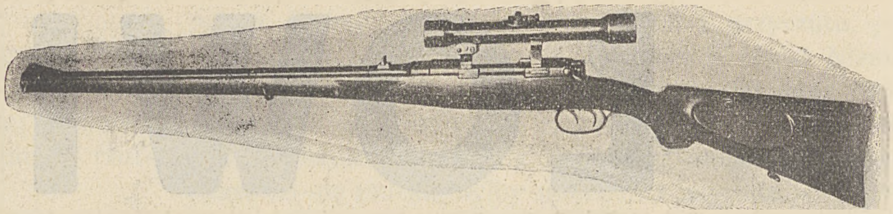
Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	15		15	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15	■	■	15				
Bataljony						■	10					
Dzikie kaczory						■	10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	10					
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

258



Z Wydawnictw

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 31 zawiera: Bohdan Grzymała Przecławski: Na gęsi z tratwy. — Leon Starkiewicz: Polowanie na dziki przy świetle pochodni. — OMT.: Z moich wypraw łowieckich poza krajem. — Emil Karney: Jeszcze w sprawie gordonów. — Spolszczył Wł. Karnkowski: Mannlicher Schönauer kal. 6,5. — Obserwator: Międzynarodowy Turniej strzelania do rzutków w Sopotach. — Listy do Redakcji. — Wiadomości bieżące. — Wiadomości handlowe. — Odpowiedzi Redakcji.

„ŁOWIEC POLSKI" Nr. 32 zawiera: Janusz Domaniewski: O konieczności założenia muzeum łowiectwa. — Al. Janta Połczyński: Międzynarodowa Wystawa Łowiecka w Lipsku. — B. Grzymała Przecławski: Na gęsi z tratwy. — Emil Karney: Jeszcze w sprawie gordonów. — Zwierzyna w „Gran Paradiso". — Leczenie psów. — Dr. Marjan Niewiadomski: Jedyny sposób ochrony zwierzyny łownej przed kłusownictwem i wnykarstwem. — Z oddziału krakowskiego. — Z żałobnej karty. — Wiadomości bieżące. — Wiadomości zagraniczne. — Strzelnictwo. — Dr. S. P.: Słodycze a odżywianie. Bibljografja łowiecka. — Wiadomości handlowe.

TREŚĆ NUMERU 17:

Nr. 17 We Lwowie, 1 września 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

XXIX ZJAZD ŁOWIECKI M. T. Ł.

ODBĘDZIE SIĘ W DNIACH 3-GO i 4-GO WRZEŚNIA B. R. WE LWOWIE

W dniu 3 września o godzinie 9-tej odprawioną zostanie

MSZA ŚWIĘTA

przed ołtarzem św. Huberta w kościele św. Elżbiety,

poczem o godz. 10-tej przedpoł. odbędzie się

WALNE ZGROMADZENIE

CZŁONKÓW MAŁOP. TOW. ŁOWIECKIEGO

w sali Towarz. Gospodarczego przy ul. Kopernika l. 20.

z następującym porządkiem:

1. Zagajenie. 2. Odczytanie i przyjęcie protokołu ostatniego Walnego Zgromadzenia. 3. Sprawozdanie z czynności Wydziału. 4. Sprawozdanie finansowe wraz ze sprawozdaniem Komisji rewizyjnej. 5. Preliminarz na rok 1930/31. 6. Wybory uzupełniające Wydziału, Komisji rewizyjnej i Sądu myśliwskiego. 7. Wnioski i interpelacje.

Wydział przypomina, że w dniach od 30 sierpnia do 6 września odbywać się będą Narodowe zawody strzeleckie. Członkowie M. T. Ł. spotkają się na strzelnicy wojskowej przy ul. Kleparowskiej w dniu 4 września, o godzinie 8-mej.

Członkowie M. T. Ł. chcący wziąć udział w strzelaniu, zechcą się zgłaszać w biurze naszem przy ul. Ossolińskich 11 III p. osobiście lub pisemnie, gdzie otrzymają zaświadczenia przynależności do M. T. Ł., na podstawie których będą się zgłaszać wprost na strzelnicy, dla podjęcia książeczek uczestnictwa, po wpłaceniu wpisowego.

W biurze M. T. Ł. otrzymać też można program i regulamin zawodów, których przestudjowanie zalecamy też tym członkom naszym, którzy na skutek naszych odezw podjęli się funkcji komisarzy strzeleckich przy strzelaniach myśliwskich.

Równocześnie podajemy do wiadomości, że Zarząd Targów Wschodnich odstąpił nam dla członków M. T. Ł. pewną ilość kart wstępu na X. Targi Wschodnie po znacznie zniżonej cenie (zł. 6 zamiast zł. 10) uprawniające do nieograniczonego stałego wstępu na plac Targów i do korzystania z 50% zniżki kolejowej w drodze powrotnej ze Lwowa w dowolnej klasie i rodzaju pociągów.

Karty te są do nabycia w biurze M. T. Ł.

TADEUSZ BODAKIEWICZ

Psy myśliwskie i ich użytkowość

Od lat kilku śledzę artykuły w „Łowcu Polskim", dotyczące spraw kinologicznych hodowli tej lub owej rasy psów myśliwskich, nadających się do naszych potrzeb i naszego klimatu.

Począwszy od zarania swej młodości interesowałem się psami myśliwskiemi, mając sposobność przypatrywać się hodowli psów prowadzonej z amatorstwa przez mego ojca, który jako zawołany myśliwy starego autoramentu, był wielkim miłośnikiem tych stworzeń. Osobiście hodowałem pointery, setery i ostatnio psy niemieckie, na tej to podstawie chcę się podzielić swemi spostrzeżeniami z tej dziedziny z braćmi z pod sztandaru św. Huberta.

Zgóry zaznaczam jednak, że nie wchodzę tutaj w rolę krytyka, potępiającego kierunek tej lub innej rasy psów. Każdy myśliwy może się postarać o takiego psa i rasę, która mu dogadza i daje maximum zadowolenia. Jaka zaś jest rozkosz, przyjemność i satysfakcja polować z dobrym i dobrze ułożonym psem, chyba o tem każdy polujący doskonale wie. Polowanie na ptactwo bez psa jest wprost niemożliwe, pies w danym wypadku daje myśliwemu nieocenione usługi.

Z treści artykułów w „Łowcu Polskim", przychodzę do wniosku, że największą sympatję i cały zastęp elity myśliwych mają za sobą psy angielskie. Na ogół biorąc, psy angielskie a szczególnie pointery, są to typy piękne, nie rażą oka swym wyglądem, posiadają przytem wybitne zalety myśliwskie, jak świetny górny węch, bezsprzecznie jako materjał wyłącznie polowy — są mistrzami w suchem polu i słusznie zwą je kuropatwiarzami. Należą one do psów jednostronnych, tu i ówdzie starano się je użyć do pracy wszechstronnej, jednak w bardzo krótkim czasie psy te padały ofiarą różnych chorób, szczególnie późną jesienią łatwo się zaziębiają. — Przy użyciu tych psów na mokradłach, trzeba na nie bardzo uważać, w przeciwnym razie zapadają na zapalenie płuc. Skłonność do zaziębiania się tłumaczyć się daje skromnem i delikatnem owłosieniem, jak również i całą strukturą przeznaczonych wyłącznie li tylko do pracy w suchem polu. Kto jest w możności dużo i często polować na kury, mając przytem do dyspozycji obszerne łany ziemniaków, buraków, brukwi i t. p. terenów, jak również przyzwyczajony jest do wspaniałej stójki i klasycznego wystawiania połączonego z całym sposobem szukania, pięknych i dalekich chodów, temu myśliwemu najbardziej będą odpowiadały psy angielskie. Kto zaś w psie chce mieć dobrego i pracowitego robotnika, nadającego się do wszelkich polowań jak: pole, bagna, zarośla, woda i las — dla tego myśliwego, pointer nie wystarcza, gdyż jest psem jednostronnym.

Ze wszystkich psów angielskich najpraktyczniejszym jest gordon-seter, gdyż ta stara rasa nadaje się do wszystkiego, posiada świetny górny i dolny węch, jest dobrym pracownikiem, doskonale pracuje w polu, zaroślach, na bagnach i rewirze leśnym. Świetnie idzie po tropie a na błotnem polowaniu i na wodzie jest niezrównanym — śmiało można go zaliczyć do psów wszechstronnych i uważać jako nadającego się do naszego klimatu i różnorodnych polowań. Gordon-seter jest naprawdę ładnym typem, jego piękna suknia każdemu się podoba, musi być jednak stylowym psem rasowym. — Hodowla tych psów jest w obecnej chwili w zaczątku, bo przez kilkanaście lat została zupełnie zaniedbaną — a szkoda. Obecnie Szwecja ma pracować nad tym psem, a i Anglicy także coś robią. Miłośnicy i amatorzy gordon-seterów powinni dołożyć wszelkich starań, aby tę starą, piękną rasę podtrzymać u nas, gdyż jest to naprawdę użytkowy i elegancki pies.

Drogą importu, dzięki miłośnikom i zwolennikom psów angielskich, szczególnie pointerów, którzy nie żałowali pieniędzy i poniesionych trudów, przez wytrwałą pracę, materjał hodowlany tej rasy jest już u nas dobrze postawiony.

Przechodzę teraz do drugiej grupy psów myśliwskich, rasy niemieckiej, a w obronie których do pewnego stopnia muszę stanąć.

Naprawdę rasowych psów niemieckich u nas jest bardzo mało, te zaś które tu i ówdzie się widzi, pochodzą z różnych nieudanych krzyżowań i są to raczej dawne pozostałości limfatycznych psów rasy staro-niemieckiej. Ogromną zaś plagą w naszych stosunkach hodowlanych jest właśnie ta bolączka, że są handlarze czy pseudo-hodowcy, którzy sprzedając psy rasy niemieckiej bez walorów myśliwskich, wytworzyli do nich niechęć i złą opinję.

Jakkolwiek Niemcy są naszymi wrogami, to jednak trzeba im przyznać, że są nadzwyczaj praktyczni i w dziedzinie hodowli psów przeszli dzisiaj Anglików wyprowadzeniem psów tak zwanych nowoniemieckich, które są produktem długoletniego, umiejętnego krzyżowania i jako takie odpowiadają najlepiej wszelkim potrzebom myśliwskim. Takiemi są ich psy gładkie, szorstko i ostrowłose, są to już lekkie psy, jako okazy nawet pod względem wyglądu zewnętrznego — niepoślednie. Nie można bić w czambuł wszystkie psy niemieckie, gdyż i pomiędzy niemi są znakomite psy polowe, w swych zaś walorach psa wszechstronnego, wprost niezastąpione, przytem są to psy inteligentne i o 10% łatwiejsze do układania, niż psy angielskie. Rozwój hodowli psów angielskich — pointerów, doszedł u nas drogą importu, tą samą drogą możemy dojść do znakomitych psów wszechstronnych rasy niemieckiej. Śledząc dzisiejsze warunki życia, przychodzę do przekonania, że pointer, to specjalna zabawka tylko na ptaszki — a nie wszechstronnie użyteczny pies, i mogę przypuszczać, że w przyszłości pointer straci u nas rację bytu, zwłaszcza przy zakrojonej na wyższą skalę reformie agrarnej i podnoszenia się zwierzostanu. Reasumując powyżej naprowadzone przezemnie wywody oparte na praktyce i spostrzeżeniach, musimy podzielić psy myśliwskie

na dwie grupy: na psy jednostronne i na wszechstronne, które muszą się różnić w dziedzinie użytkowości ze względu na rodzaj i ilość działów pracy.

Odbyte zaś dotychczas popisy dwóch, lub trzech wyżłów niemieckich na polach Wilanowa, z większą ilością wypróbowanych i wytrenowanych pointerów, nie są jeszcze dostateczną reklamą, upoważniającą do zniechęcenia do hodowli tej rasy psów. Potrzebną jest większa ilość psów i popisy te powinny się dzielić na dwie grupy — na popisy wyżłów angielskich, jako jednostronnych i na popisy wyżłów wszechstronnych, dla których teren musi być różny, jak: pole, woda i las. Musimy się jednak pogodzić i z temi warunkami, że psy, które odbyły dalszą podróż koleją, są zwykle przemęczone i najlepszy nawet pies inaczej będzie pracował na nieznanym terenie, niżeli pies, który pracuje na znanym mu gruncie, jest również dobrze obznajomiony ze swymi konkurentami, z którymi nieraz razem jest chowany. Przy organizowaniu zaś popisów wyżłów wszechstronnych, w wielkiej mierze może pomódz i dać pewne wskazówki Wielkopolski Związek Myśliwych, posiadający w swem gronie wybitne jednostki — ludzi dobrze obznajomionych ze sztuką prowadzenia psów wszechstronnych, mających za sobą dobrą praktykę, to może nas prędzej zbliżyć do siebie i stworzyć jednolitą całość na polu hodowlanem.

Z prawdziwą przyjemnością czytałem artykuł p. T. Abrahamowicza, dotyczący sprowadzenia z za granicy rasowych psów niemieckich z bardzo dobrych gniazd; należy przyklasnąć temu eksperymentowi, który napewno będzie miał powodzenie i wielką rację bytu. Widziałem taką importowaną bardzo ładną sukę „Ritę" u p. inż. Patraszewskiego w Tarszynie (Małopolska), który będąc znawcą i wielkim miłośnikiem psów myśliwskich, sprowadził ją z Niemiec dla zapoczątkowania hodowli nowoniemieckiej rasy.

Bez względu na upodobania i przekonania, życzę wszystkim hodowcom wszelkich ras psów myśliwskich jak najlepszego rozwoju i powodzenia, bo przez Ich wysiłek i pracę w tym kierunku zdobędziemy, jako Państwo kulturalne, pewną wyżynę i upodobnimy się do Zachodu.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI (z teki pośmiertnej)

Wspomnienia z polowań na orły i sępy w latach 1885-1917

(Ciąg dalszy)

Łamignat (haliaetos albicilla).

Nie mniej szczęśliwym byłem w zdobyciu pierwszego orłana łamignata. Powracałem z tabunem koni z Bałtajskiego jarmarku wiosennego. W połowie drogi zatrzymałem się, by ludziom i koniom dać należycie wypocząć po 50 wiorstowym marszu. Rozbiliśmy obóz nad stepowym stawem dość wielkim. W czasie długiego odpoczynku, między ptactwo do wodopoju nadleciał orłan, rozpędził całą gawiedź nad brzegami siedzącą — wykąpał się i siadł w końcu przeciwległym stawu. Podpełznąwszy z za wysokiej grobli, wziąłem rabusia na cel. Kula Francotte 6 mm (pancerzowa) zajęczała, uderzyła w ptaka, lecz ten nagle wzniósł się wysoko, zakręcił łuk i klapnął na środek stawu, skąd go dostać nie mogłem. żałowałem, bo wydał mi się kolosalnie wielkim i pięknym, o szarem ubarwieniu i białym jak śnieg ogonie.

Nalot sępów na stepy Chersonu.

Trudno byłoby mi wymienić me trofea orle, zdobyte w okresie lat wielu. Było ich wiele, lecz i pudeł nie brakło, przecież szczęście jest zmienne, nigdy jednak nie zrażało mnie niepowodzenie chwilowe i temu zawdzięczam poważne me rezultaty orlich polowań.

Nadszedł rok 1892. Kto z nas ówczesnych mieszkańców południowej Rosji nie pamięta tego roku strasznej tropikalnej klęski posuchy, nieurodzaju, następstwem czego był głód, choroby, śmiertelność ludności duża i okropny pomór bydła!

Już w połowie maja, w czasie gdy zwykle nasze stepy pokryte bujną a żyzną roślinnością przedstawiały jeden kobierzec barwny, a pasące się trzody tonęły w bujnych trawach, jak w zielonem morzu, zżółkłe, popielate od palącego słońca, zamieniły się w bezpłodną pustynię dziką. Nigdzie najmniejszego znaku życia roślinnego, żadnej zieleni, tylko czarne i białe osty pokryły uprawne pola, a wśród stepu kępy płowych bodiaków, hardo i jakby urągające słońcu i całemu zniszczeniu, wynosiły wysoko swe purpurowe, kolące kwiaty. Głód i zniszczenie zionęło z każdego zakątka. Największe majątki nie mogły wyżywić swych pracowników, a bujne stepy wyżywić nasze inwentarze. Tysiączne tabuny owiec, bydła i koni malały z każdym tygodniem, z dniem niemal każdym. Traciliśmy główną gałąź podstawową naszych ówczesnych gospodarstw hodowlanych. Stada zamieniały się w ogromne cmentarzysko szkieletów bydlęcych wszędy po stepach rozrzuconych. Instynkt czy szalone powonienie obfitości pokarmu zwabiły na stepy nowych, dotąd tu nie widywanych gości z dalekich gór Krymu, Bałkanów i Zakaukazu. Masy sępów mnichów i im pokrewnych gryfów

z dniem każdym stawały się widoczniejsze. Meldunki objazdowych kozaków o pojawieniu się tych grabarzy plugawych coraz częściej się powtarzały.

Pierwszy sęp (monachus vultur).

Objeżdżając codziennie pasące się na rozległych i dalekich przestrzeniach stada, jeździłem zawsze z Kozakiem przybocznym Fed'ką. Wyruszaliśmy z głębokiego jaru na skraj równin stepowych, gdy jadący Fed'ko w przodzie nagle zwrócił konia, przysiadł w siodle, dając mi znak ręką w stronę stepu. Zrozumiałem go i z gotowym Francottem wychyliłem się za kraj urwiska. O 80 kroków siedziało kilkanaście sztuk czarnych prawie sępów w towarzystwie 2—3 gryfów. Wziąwszy na cel okazalszy egzemplarz, pociągnąłem za cyngiel. Ptaki, odbijając się kilkakrotnie od ziemi, pociągnęły nad stepem, pozostawiając czarnego towarzysza ze złamanem skrzydłem na kurhanie. W kilku skokach byliśmy przy nim. Groźna postawa ptaka w atakującej pozycji nie wróżyła nic dobrego. Stał z rozpostartemi skrzydłami i wciągniętą długą szyją i jak hakiem nastawionym dzióbem, wyczekując zbliżenia się naszego, a gdy Fedko zbyt blisko nadszedł, wymierzył mu silne cięcie w nastawiony trzon harapa. Długo nie mogliśmy opanować śmiałka — dopiero po narzuceniu mu na głowę świty, ujęliśmy olbrzyma mierzącego w rozmachu skrzydeł blisko 4 arszyny, o potężnych szponach i ogromnym hakowatym dzióbie. Była to moja pierwsza zdobycz z późniejszych sześciu. Niechlujny ten ptak, cuchnący odrażająco, nie robi mimo swej rzadkości, należytego wrażenia, to też ta zdobycz nie tak znów wielką zrobiła uciechę. By spreparować takiego niechlujca, trzeba posiadać pewną odwagę i nos nieczuły na straszliwy odór.

Zasadzka.

Gdy tych dziwolągów plugawych coraz więcej zjawiać się zaczęło w naszej okolicy, kazałem w ustronnym zakątku stepu wykopać dół, zamaskować go burzanami należycie i podciągnąć końskie padło na 80 kroków od zasadzki. Pewnego dnia świątecznego o bardzo wczesnym poranku zasiadłem w mej zerybie zaopatrzonej w wodę i żywność na dzień cały. Około 9 rano na bezmiernej nademną wysokości pokazały się drobne czarne punkciki, które zataczając coraz węższe kregi, opuszczały się ku ziemi niżej.

Z każdą chwilą jest ich coraz więcej. Już mogę je rozpoznać. Są czarne sępy i ich bratnie żółto płowe gryfy, płyną bez najmniejszego ruchu skrzydeł, z podgiętemi szponami i wyciągniętą naprzód szyją, zaledwie dostrzegalnem poruszeniem ogona nadając sobie kierunek. Już pierwszy z lekkim szumem skrzydeł opuścił się na ziemię i z rozstawionemi skrzydłami stanął spokojnie, przyglądając się z dala padłu. Teraz z każdą chwilą ich więcej przybywa, otaczają półkołem ścierwo. Jedne siedzą spokojnie, inne wszczynają z sobą bójki, inne łakomo poziewają i kołysząc się niezgrabnie na swych krótkich nogach przechadzają się zdala. Żaden jednak nie śmie zbliżyć się do trupa. Dopiero po godzinie jakiś śmiałek siadł na karku padła i wymierzył w jego łeb straszne cięcie, zaczął wyszarpywać ozor, wydziobywać ślepia. Na to hasło czekała tylko zgłodniała zgraja. Bijąc się, rozpychając i tłocząc, obsiadła padło i pół setki dziobów, jak młotów kowalskich, zaczęło bić w zdęty brzuch konia, rwać kawały ścierwa, skóry i kości. Kilkanaście długich szyi pogrążyło się w trzewie, pożerając i dławiąc się niemi. Jakiś osobnik z kawałem mięsa w szponach, odbiegł na stronę, lecz tu czekał na niego,

---

ST. BARABASZ

Czeladź św. Huberta

W latach siedmdziesiątych ubiegłego wieku, stosunki łowieckie w okolicach Krakowa były dosyć opłakane. We wsiach, gdzie mieszkali właściciele ziemscy, polowanie wykonywali oni sami, zaś inne wsie albo wypuszczały polowanie w dzierżawę różnym amatorom z miasta, lub też wcale ono nie było wydzierżawione. Polował wtedy kto chciał. Pamiętam, jak nieraz koledzy moi wyprawiali się do okolicznych wsi ze strzelbami i mnie na takie polowania zapraszali. Rezultaty były marne, bo zwierzyny nie było i w takich warunkach być nie mogło. Ale zato swoboda była nieograniczona. Nikt się nie pytał o uprawnienie do polowania i tylko przed żandarmem trzeba się było legitymować kartą na broń a i tego można było nieraz się ustrzec.

Z czasem stosunki zaczęły się poprawiać. Rewiry nabierały wartości, odkąd zaczęli się niemi interesować różni miejscy myśliwi. No i zwierzyny przybywało. Kilka dobrych lęgów zrobiło swoje, a także jaki taki nadzór nad zwierzyną. Wiadomą jest rzeczą, że zwierzyna trzyma się myśliwego, gdzie zaś nie poluje się, tam zwierzyny niema, bo polują wszyscy, nawet psy i koty.

Przypominam sobie kilka oryginalnych typów ówczesnych nemrodów, znanych powszechnie między myśliwymi. Do najciekawszych i najoryginalniejszych, należał pan Antoni L. Postać to była typowa, nawskróś oryginalna, bardzo sympatyczna, jakby nie z naszych czasów, z jaką mało gdzie spotkać się było można.

Z zaprowadzeniem racjonalnego gospodarstwa łowieckiego, znikają z nieubłaganą koniecznością różne takie zabytki, powstałe na tle dawnej swobody i zaniedbania w tej dziedzinie.

Był to typ ówczesnego podmiejskiego myśliwego, dzisiaj powiedzielibyśmy kłusownika, ale wtedy inne były o tem pojęcia. Ileż to on wydeptał zajęcy, przez czas 70-cio letniego swego żywota, a od wczesnej młodości strzelbą się bawił, gdzie on nie polował, znany był wszystkim myśliwym w Krakowie i okolicy. Wysoki, barczysty, niezwykłej tuszy, o czerstwym wyglądzie, z siwemi wąsami i brodą, ubrany w jasną długą czamarę z guzami, kroczył poważnie po rolach w jesieni wypa-

trzymający się dotąd na uboczu orzeł. Krótka zawrzała walka, orzeł z kęsem zrabowanym odleciał w step, sęp po nową zdobycz powrócił do padła. Wstrętna ta uczta grabarzy nie trwała długo. Teraz leżał krwawy szkielet, odarty z mięsa i skóry, a obżarte ptaki, poddały się miłemu trawieniu i drzemce. Ale i ja miałem już dosyć wstrętnego widoku. Trzymając na celu oddawna najwspanialsze sztuki, zdublowałem. Huk strzałów przeląkł całą gromadę — zadrżało powietrze od rozmachu setek ogromnych skrzydeł i zahuczało w wyżynach jak daleka burza. W mgnieniu oka ciemna chmura ptactwa zniknęła w przestworzach, pozostawiwszy na miejscu z rozciągniętemi skrzydłami dwóch swych towarzyszów.

Były to dwa sępy mnichy, najwspanialsze, tak swemi rozmiarami jak opierzeniem, jakie w mem życiu upolowałem, lecz bijąca od nich woń i niechlujstwo czyniły je wprost wstrętnemi. Nawet mój niewybredny Fed'ko, nie chciał dotknąć się tych „czornych diawołów", jak ich nazywał.

Sęp w przeciwieństwie do orłów, o ile mogłem zauważyć, nie napada na żyjące stworzenie, nie rzuca się nawet na dogorywającą zdobycz, a wyczekawszy jej śmierci, długo jeszcze obserwuje swą martwą ofiarę. Mogłem to wielokrotnie stwierdzić na trzymanym w klatce gryfie, który po długim głodzie nie atakował żywego jeszcze jagnięcia.

Wyżeł i orzeł.

Polowałem na kuropatwy w niskopiennych zaroślach. Już miałem kilka sztuk przy torbie. Kilka szpetnych pudeł zrobiłem, gdy pomknął przedemną szaraczek. Palnąłem do niego, raniąc ciężko. Zając wybrawszy się w step, zwiał mi z oczu razem z mym nieposłusznym psem. Po krótkiej chwili doszło mnie urywane naszczekiwanie psa, który też niebawem pokazał się z niosącym w pysku szarakiem i bujającym nisko nad nim orłem. Ralf odbijał ataki napastnika szczekaniem, kładł zająca i rzucał się na orła. Zacietrzewiony orzeł, powtarzając coraz natarczywiej swe ataki, nadciągnął na mnie, ukrytego za dębem. Miałem go zaledwie na 35 kroków i palnąłem jak do stojącej tarczy, a widząc żem chybił, poprawiłem z drugiej lufy. Ptak najzdrowszy odleciał, a ja dopiero teraz wspomniałem, że po strzale do zająca nabiłem fuzję śrutem na przepiórki.

O 25 wiorst od Czernowy miałem futor leśny, dokąd od czasu do czasu jeździłem na kontrolę. Droga prowadziła na przestrzeni kilku wiorst przez głęboki jar, otoczony z obu stron spadzistemi urwiskami i pagórkami. Na jednym z nich spostrzegłem samotnie siedzącego sępa mnicha. Widok samotnego pustelnika zadziwił mnie, gdyż nigdy nie spotykałem sępów, jak tylko gromadnie. Teren był sprzyjający do podejścia tego desperata. Poleciwszy stangretowi zwrócić całą uwagę ptaka kręceniem się w dolinie, sam okrążywszy górę, zaszedłem z przeciwnej jej strony i znalazłem się o kilkadziesiąt kroków od siedzącego i wpatrzonego w przeciwną stronę rabusia. Strzeliłem do zrywającego się, gdy rozwinął swe ogromne skrzydła. Nie zdążył nawet wzbić się do lotu. Był wielki, stary, lecz nędznie opierzony i wytarty z postrzępionemi skrzydłami nędzarz.

Lecz nie była to ostatnia zdobycz tego dnia. Obchodząc lasek mijałem duży, odosobniony krzew cierni i głogów, z którego na kilka zaledwie kroków wzleciał niewielki orzeł dzwoniec (aquila naevia). Zdążyłem strzelić, zanim oddalił się, nie spiesząc się i jakby wa-

---

trując, czy gdzie „kot nie wyjdzie". Przeszukiwał pole dokładnie i systematycznie jak bocian i można było być pewnym, że gdzie on przeszedł, tam nic się nie ukryło.

Psa miał specjalnie do zajęcy tresowanego, który chodził za nogą, a dopiero po strzale pędził za zającem, wymyślając mu zachrypniętym dyszkantem. Nieraz i kilka kilometrów odprowadzał kota, gdy czuł, że jest postrzelony, i przynosił, a odebrać sobie nie pozwolił nikomu, tylko panu.

Pamiętam taki wypadek, że Karo pogoniwszy za postrzelonym zającem, dopadł go gdzieś za krzakami. Chłopi widząc psa samego, chcieli skorzystać z łatwej zdobyczy i odebrać mu zająca. Karo położył kota na ziemi, skoczył do chłopów, pogryzł ich dotkliwie, i zająca przyniósł swemu panu.

Licząc też na psie nogi, strzelał p. Antoni do zajęcy na wielkie odległości, czem straszliwie niszczył zwierzynę. Dubeltówkę miał tak wystrzelaną, że wyloty luf były cieńkie jak papier, i po bokach miały dziurki.

Na polowaniu chodził pomału, a gdyśmy biorąc to na karb jego tuszy, żartowali z niego, on nawzajem kpił z nas gorących myśliwych, że nie umiemy chodzić i szukać po polu. Nieraz bowiem wchodził w łany ziemniaków już przez innych zdeptane i ruszał ku naszemu zdumieniu zająca.

„A widzicie, mawiał wtedy, kto lepiej umie chodzić? Zając nie zawsze ruszy się, gdy się szybko koło niego przejdzie, przeciwnie, idąc pomału łatwiej się go ruszy.

Mimo jego powolnego chodzenia, nikt nie był w stanie dotrzymać z nim do końca dnia, bo on był niezmordowany. Ale też i apetyt rozwijał na polowaniu taki, że trzech ludzi nie potrafiłoby zjeść tego, co on sam konsumował.

Żywność woził w zamkniętej na kłódkę walizce, od czasu jak mu się chłopcy do niej dobrali, a była ona nieźle napełniona. Wieniec kiełbasy, kilka funtów polędwicy wieprzowej, comber zajęczy, duży bochenek chleba prądnickiego, flaszka czerwonego sikuna, zwanego przez niego „Bordeau, Chateau Lafitte", oraz kilka cytryn i miałki cukier. Przy sobie zaś nosił flaszkę wódki, którą zwał „Tinctura aurenticrum cordicum". Pił ją zwykle na trupa, lub przy spotkaniu się z drugim myśliwym.

Na śniadanie schodzili się wszyscy do źródła, t. j. studzienki koło wsi około 2 lub 3-ciej popołudniu, i zjadali

hając. Po skąpem upierzeniu całego podbrzusza, po pomiętych i brudnych piórach, przyszedłem do wniosku, że to samica, mogąca mieć tu gdzieś blisko dzieci. Jako też po krótkiem szukaniu znalazłem w małem zagłębieniu, trawą i puchem skąpo wysłanem dwa białym puchem jeszcze okryte pisklęta z czarnemi oczkami i takiemiż rogowemi dziobami. Przy mem zbliżeniu wyciągnęły główki, rozwarły dzióbki a gdym je chciał wziąć do rąk, wywróciły się brzuszkami do góry i pazurami broniły się przed ich ujęciem. Blisko dwa lata żyły początkowo w klatce — później na swobodzie ku mej uciesze a zgryzocie „ptícznicy", której porywały młode kaczęta, kury i perlice.

Zajmując się kolekcjonowaniem jaj ptasich od lat wielu i tej wiosny (1898) udałem się z mymi chłopami i przewodniczącym im strzelcem i preperatorem Korpem na dalszą wycieczkę w stepy Jaworowskie księżnej Szczerbatowej. — Kilkunastotysięczne hektarowe płaszczyzny stepowe, nie tknięte dotąd pługiem, z masą leśnych drobnych opuszek, grupami samotnych dębów odwiecznych i kilku większemi kępami karłowatych lasków. Dzikie ustronne te zakątki zapewniały bezpieczne schronisko i spokój dla płodu ptactwa drapieżnego, które ściągało chętnie w tą okolicę. Orzeł, sokół, raróg, jastrząb, kania płodziły się tu obficie. Stąd też większa część mych zbiorów jaj i ptactwa pochodziła.

Gdy moi ludzie z Karpem rozbiegli się po laskach i ostępach, ja z mą wyżlicą Pardwą udałem się na przetrząsanie dalszej okolicy. Przechodząc około krzewów niskopiennych, Pardwa zaledwie zajrzawszy do ich cienistego wnętrza, z piskiem i podgiętym ogonem z nich wybiegła, trwożliwie oglądając się poza siebie. — Nie wszedłem jeszcze w głąb zarośli, gdy z żałosnem kwileniem wzleciał orzeł ponad krzewy i zaczął je okrążać. Strzeliłem jak do tarczy i ptak zwinął się w powietrzu. Przeszukałem krzewy i znalazłem parkę młodych dzwońców, już dobrze opierzonych. W czasie południowego odpoczynku mój Karpo zauważył orła często kołującego nad daleką starą stertą siana i zwrócił mą na to uwagę. Po należytym wypoczynku, gdy ochłodziło się cokolwiek i miły wietrzyk zaszeleścił w burzanach, poszedłem w kierunku owej sterty. W drodze dwukrotnie zauważyłem orła nad nią bujającego. Sterta, okazała się dwupiątrowym budynkiem zgniłych traw, z głębokiemi bruzdami przez czas i ulewy wyżłobionemi, z głębokiemi wpadzinami na wierzchu a ciemnemi norami lisiemi u spodu. Wejść na jej wierzchołek nie było łatwem. Po kilku próbach, oślizgnień i raptownych zjeżdżań, wreszcie znalazłem się na jej falistym wierzchołku. Z jednego takiego zagłębienia nagle podniósł się piękny pstrawy orzeł i przybrał postawę groźną, zasłaniając sobą gniazdo z trzema orlętami. Mimo naszczekiwania mej Pardwy i mego straszenia, biedna, troskliwa matka nie pomna na własne niebezpieczeństwo, przez chwil kilka nie chciała opuścić swego maleństwa. Z obawy zaś podpalenia sterty nie mogłem strzelać do niej, co uczyniłem dopiero, gdy zmuszona rzuceniem kapelusza, opuściła stertę. Puchem jeszcze okryte maleństwa zacięcie broniły się dzióbkami i pazurkami — zabrałem je i powiększyły one me dzisiejsze zbiory.

Gdym w cieniu sterty zabawiał się memi orzełkami z ledwie dosłyszanym szelestem okrążył stertę inny orzeł niosący dużego tchórza w dziobie na pokarm dzieciom. Padł i on od mego strzału. Był to również, jak jego samica pięknym okazem orientalisa o opierzeniu mocno nakrapianem bielizną. Karpo miał wiele kłopotu

---

przyniesione zapasy. P. Antoni przyrządzał z czerwonego wina, wody, cytryn i cukru, lemoniadę, którą częstował towarzyszy. Niejeden z nas dostał z tej małmazji kurczów żołądka.

Pomiędzy towarzyszami polowania, był także kasjer z kasy oszczędności p. Ksawery. Jako kasjer, znał wartość pieniędzy, lubił je bardzo i niechętnie je wydawał. Miał węża w kieszeni, i to nie byle jakiego, więc bał się tam rękę włożyć. Gdy wyjeżdżał na polowanie, to potrącał żonie utrzymanie za ten dzień, bo przecież on w domu wtedy nie jadał.

Co jadał na polowaniu, nikt nie wiedział, bo załatwiał to na uboczu, chodząc po polach. Raz podczas wypoczynku, gdy się wszyscy zeszli przy źródle w południe, wydobył z torby parę kiełbasek i rozglądał się, gdzieby je można zagrzać.

„Daj pan, zagrzejemy je, rzekł p. Antoni i rzucił swemu psu. Zaraz będą ciepłe, tylko pies odda je panu bez skórki".

„Bój się pan Boga, cóż ja będę jadł, bo nic więcej niemam".

„Nieszkodzi, u mnie jest dosyć, siadaj pan i jedz, wiele chcesz".

Apetyt miał p. Antoni znakomity, mógłby brać udział w konkursach, gdyby takie były urządzane, i znany był z tego w Krakowie, bo lubił się w tym kierunku popisywać. Zaproszony raz na święcone, gdy reszta gości zabawiała się obok pokoju, on z drugim podobnym towarzyszem siadłszy w jadalni, zjadł małą szynkę doszczętnie, zostawiwszy przerażonej gospodyni tylko kość, skórę i barwinek na półmisku. Zjeść całą gęś, lub indyka, nie było dla niego nic nadzwyczajnego.

Z zawodu był srebrnikiem, kuł łyżki i widelce dla krakowskich złotników. Bardzo pracowity, wstawał do dnia, ale zato razem z kurami kładł się spać. Mieszkał na Zwierzyńcu, gdzie posiadał domek parterowy z ogrodem. Byłem raz u niego o godzinie ósmej wieczorem, aby umówić się na jutrzejsze polowanie, i zastałem całą rodzinę już w łóżkach.

Pracował bardzo pilnie przez cały tydzień, a w niedzielę polował, bo bez tego żyć nie mógł. Żona niechętnie to widziała i próbowała go od tego odwieść, gdyż chciała się w niedzielę zabawić z mężem u znajomych.

z wychowaniem mych pupili — lecz wywiązał się ze swega zadania należycie — pomnożyłem mą klatkę o pięć ładnych okazów.

Siedziałem pewnego poranku z rodziną przy śniadaniu, gdy nagły tętent konia rozległ się na podwórzu i wpadł zdyszany pobereźnik Michajło, oznajmiając mi o „t‘mie t‘muszczej preogromnych orliw, sobranych wożle liskiw charbosowskich“. W pół godziny później podjeżdżałem do owych „liskiw“ i ze zdumieniem ujrzałem ogromne stado, około setki, siedzących sępów na gołym stepie. Z ich niespokojnej postawy poznałem, że nie dadzą się zjechać na strzał, gdyż kilka osobników oderwało się od gromady i odleciało dalej. Wziąłem więc mój 8 mm dubeltowy sztucer i na 350—400 kroków, wygarnąłem dwukrotnie. Pierwsza kula świsnęła nad stadem żałośnie, druga jeszcze tęskliwiej zajęczała pod stadem, nie przyczyniając mu najmniejszej szkody. Stado uleciało a ja pochmurny i zły, wróciłem do zajęć zwykłych.

Najlepszą porę dla orlich polowań uważałem koniec zimy, a raczej początek wiosny. Przy końcu lutego miewaliśmy tak zwane „fugi“, istne „purgi“ syberyjskie, straszne huragany i śnieżyce, nie rzadko po kilka dni trwające, a w czasie których nikt nie ryzykował wyruszać w drogę, wyjrzeć poza obręb chaty, a dobry gospodarz nawet psa z domu nie wypędzał na dwór. W takim czasie wszelki zwierz ściągał z dalekich pól w porzeczne doliny, zadrzewione lewady (łęgi), blisko nawet osiedli ludzkich, gdzie schronisko przed burzą i łatwiejsze wyżywienie mógł znaleźć. Tu też zatrzymywało się na dłuższy odpoczynek różne ptactwo w swych dalekich przelotach na północ. Znając te ptasie zwyczaje, uważałem tę porę za najpomyślniejszą dla łowów na drapieżne ptactwo i corocznie z prawdziwem utęsknieniem i niecierpliwością wyczekiwałem ostatnich zimowych śnieżyc i zawieruchy, a gdy nadeszły, żadna siła mnie nie zdołałaby zatrzymać w domu.

(C. d. n.)



„Dobrze, powiedział p. Antoni, jeżeli ci się to niepodoba, to nie pójdę na polowanie“.

Zato poszedł zaraz rano do miasta, upił się tam jak bela, i wrócił wieczorem do domu z pijanym towarzyszem, który wpakowawszy się do łóżka, odbył gruntowną morską chorobę. Tem wyleczył żonę ze wstrętu do polowania, oświadczyła mu bowiem, że woli, aby polował, aniżeli takie szerokie zabawy urządzał.

Dzierżawił przez szereg lat polowanie w kilku wsiach w Krakowskiem, jak Rączna, Wołowice, Zagacie, Czernichówek i Dąbrowa. Dopuszczał do udziału kilku młodych myśliwych, z którymi wyjeżdżał co niedzielę na polowanie. Punkt zborny był u niego na Zwierzyńcu.

Gdy przyjechano tylko do granicy rewiru polowania, wysiadano na gościńcu, wóz zaś zajeżdżał do polowego lub wójta, gdzie wyprzęgano konie i dokąd wracano wieczorem z pola, bo tam był punkt zborny.

Wójt miał córkę Magdzię, do której się niektórzy przystawiali. Otóż zdarzyło się, że pewnego roku przyniesiono p. Antoniemu do domu na Zwierzyńcu dziecko, jako rezultat zbiorowego polowania. Jak to tam rzeczywiście było, niewiadomo, prawdopodobnie trudno było oznaczyć, któremu z myśliwych ta premja się należała, więc wybrano najpoważniejszego i reprezentującego firmę szefa i jemu złożono ten dar w ofierze.

Gratulowaliśmy p. Antoniemu szczerze tego sukcesu w tym wieku.

Granice dzierżawionego polowania były bardzo rozciągliwe, tak, że nie można było dokładnie wiedzieć, gdzie się kończy jego terytorjum, a obce się zaczyna. Gdy zaś złapał kogo na swojem, był nieubłagany, oddawał sprawę do starostwa lub sądu.

Pewnego razu jadąc na polowanie, zaproponował mu wspomniany p. Ksawery, aby wstąpili po drodze na grunty sąsiedniej wsi, gdyż on zna właściciela. Buszowali tedy po polach, każdy osobno, jak to mieli w zwyczaju. W tem parobcy ze dworu, widząc obcego chodzącego ze strzelbą, obstąpili p. Antoniego i odebrali mu broń. On zostawszy bezbronny tylko z torbą jak dziad, wyprosił sobie kij u jednego z chłopów, aby się miał czem od psów oganiać, a pragnąc, aby jego towarzysz również się tak zabawił, wskazał parobkom, że jest tu jeszcze drugi pan z Krakowa, który także ma strzelbę.

(C. d. n.)

FRANTZ MUNCH ROSENBERG

Łowy na grubego zwierza

(Tłum. z ang. A. M.)

(Ciąg dalszy).

Łoś „moose". — Polowanie na łosia. — Śnieg. — Mój pierwszy łoś. — Łoś czarny jak węgiel.

Łoś amerykański (Alees americanus) „elk", lub „moose", jak ogólnie go nazywają, znajduje się w całej Kanadzie i w większej części Kolumbji Brytyjskiej; spotkać go też można i na południu, po drugiej stronie granicy międzypaństwowej. A więc są łosie w Minnesota, w Wyoming, Idaho i Montana a w obydwóch wschodnich stanach, Maine, a Nowym Brunświku bywają bardzo liczne.

Na pierwszy rzut oka bardzo mała przedstawia się różnica między łosiem amerykańskim „moose", a naszym łosiem skandynawskim „elk". Możnaby powiedzieć, że zasadniczo, łoś „moose" jest większy i większe też ma o wiele łopaty, a wyrost tych ostatnich różni się poniekąd od wyrostu łopat łosia „elk". Sposób jednak ich życia jest identycznie taki sam.

W południowo-zachodniej części Kolumbji Brytyjskiej i w Alasce a zwłaszcza na wyspie Kenai, znajduje się odmiana łosia, którego budowa tak ciała jak i łopat, jest większa w porównaniu z pobratymcem ze wschodniej Kanady; stwierdzonem zostało, że to jest oddzielny gatunek (Alces Gigas). Według Andrzeja Stone, z uniwersytetu kolumbijskiego, wzrost dorosłego Alces Gigas wynosi około 76—77 cali na grzbiecie, gdy tymczasem wzrost dorosłego Alces Americanus rzadko kiedy przewyższa 69—70 cali.

Co się tyczy łopat, to łatwo daje się zauważyć, że rosną one najpierw więcej w górę, a później dopiero przybierają formę łopaciastą, tak jak u naszego „elka".

W Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie ilość pasemek w łopatach łosia niema wielkiego znaczenia, tylko większy lub mniejszy obwód pni odgrywa wielką rolę.

Jeśli całe łopaty wyniosą około 60 cali a pasemka dochodzą do 25 cali lub więcej, to łatwo można sobie wyobrazić co za wspaniały okaz taki łeb przedstawia.

We wschodniej Kanadzie łopata łosia o obwodzie powyżej 60 cali jest prawie rzadkością, gdy tymczasem z wyspy Kenai myśliwi przywozili łopaty powyżej 70 cali długości.

Największe łopaty łosia dostarczono z niziny Yukon, które wynosiły 78½ cali obwodu a posiadały 43 pasemka. Łopaty wraz z czaszką ważyły 81 ang. funtów i 12 uncji, a jak wspomniałem już, według twierdzenia Pillings'a, łopaty dużego łosia, którego on upolował, wynosiły 84 cali.

Tym sposobem łoś z okolicy Cassiar bardzo jest zbliżonym do odmiany „Gigas" co do kształtu ciała, ale łopaty jego nie dochodzą nigdy do rozmiaru łopat tego ostatniego.

Pierwszy myśliwy, który polował w Alasce i w Kenai, przywiózł wspaniałe okazy olbrzymich łopat, ale ponieważ przybywa wciąż liczba sportsmenów, zwiedzających te kraje, którzy przeważnie zabijają tylko większe sztuki, — stało się rzeczą zupełnie naturalną, że ubywa ich znacznie, a nawet w naszych czasach bywa już bardzo o nie trudno.

Polowanie na łosie „moose" różni się od polowania na łosie „elk" w Norwegji w tem, że użycie psów wcale jest nieznane i nawet wzbronione. Łatwo bowiem zrozumieć, że w wielkich obszarach leśnych wschodniej Kanady, gdzie polowania i teraz jeszcze wydają bardzo nikły rezultat z powodu nadmiernych gąszczów leśnych — z wyjątkiem polowań Indjan lub zupełnie doświadczonych białych myśliwych, korzystniejszy o wiele sposób został zastosowany a mianowicie: wabienie byka naśladujące „wołanie" łoszy.

Polowanie na te łosie urządza się najpraktyczniej w czasie bekowiska, gdy samce puszczają się wtedy na długie wędrówki. Myśliwy sam sobie sporządza rodzaj trąbki z kory brzozowej i cichym wieczorem lub wczesnym rankiem, o brzasku, obiera stanowisko przy otwartem miejscu w lesie lub przy błotnisku, albo nawet na jednem z tych kanadyjskich czółen w cienistych gęstwinach licznych tu jezior i na rogu z brzozowej kory naśladuje wołanie łoszy.

Wabienie takie wymaga wielkiego artyzmu, i strzał bywa też bardzo trudny, gdyż najczęściej jest za ciemno dla dopatrzenia muszki na lufie. Z tej też również przyczyny trudno jest i rozpoznać wielkość łopat byka.

Jeśli się zdarza, że kilka ich znajduje się w okolicy, myśliwy może z wielkiem powodzeniem urozmaicać to „wołanie" samicy, dodając chrząkanie samca, dając tym sposobem temu ostatniemu do zrozumienia, że się znajduje w pobliżu rywal jego, i tem można wyprowadzić go na strzał.

Można inaczej jeszcze zwabiać łosie: zawiesza się latarenkę na szczycie słupa w czółnie w ten sposób, aby światło z latarni padało na plecy myśliwego i na muszkę lufy. Gdy się już zwabiło byka, tak, że ten wyszedł z lasu, skierowuje się na niego światło i zwykle bywa, że podchodzi on wtedy do czółna.

W pewnej mierze jest to ryzykowne dla myśliwego, ale znów, z drugiej strony strzał może być trafny, gdy zwierzę jest oświecone. Oficjalnie sposób ten jest zabroniony, jest jednak używany przez kłusowników.

W dużych lasach o otwartych przestrzeniach i pustkowiach północy, w Alasce, Kolumbji Brytyjskiej, wabienie tego rodzaju nie było praktykowanem przez Indjan lub białych myśliwych. Nie okazało się to bowiem potrzebnem ze względu na nadzwyczajną ilość łosi, jak też i otwartych przestrzeni. W późniejszych już jednak czasach wabienie łosi urządzać zaczęto w Kolumbji Brytyjskiej i to z dobrym wynikiem, a p. Bryan Willianos podaje wiele nadzwyczaj ciekawych wydarzeń z tych swoich przedsięwzięć.

Ponieważ na północne łosie tak często nie polują, nie są one tak „wyuczone", jak ich pobratymce we wschod-

niej Kanadzie. Wabienie ich, naśladujące wołanie klempy, nie jest potrzebne, a p. Breyan Willianos opowiada, że każdy wogóle rodzaj wabienia okazuje się zbytecznym, gdyż bywały wypadki, że byki wychodziły na odgłos uderzeń w cynkową blachę lub na odgłos dzwonków umieszczonych na uprzęży koni.

Ale nic wtedy o tem nie wiedzieliśmy i polowania nasze urządzaliśmy jako zwykłe obławy. Dennis, który był doświadczonym myśliwym, wybierał zwykle mały pagórek, lub jaki szczyt, z którego mógł obserwować rozległe, otwarte przestrzenie górskie, lasy lub błotniska i tak przez binokle, jak i swym doskonałym wzrokiem wypatrywał bezustannie ukazanie się jakiego wielkiego zwierza. W gęstych lasach wyspy Kenai, łosie, gdy czują już zdala myśliwych, celują w ruchach o nadzwyczajnej zręczności, cichych i ostrożnych, i tylko na rozległej, otwartej przestrzeni można zbadać wielkość zwierzęcia.

Nie mówiąc naturalnie o samej wspaniałej zdobyczy, podług mego zdania polowanie na „moosy“ w Kanadzie lub Alasce nie przedstawia tak wielkiego uroku, jak polowanie na łosie z psami w Norwegji, a to ostatnie wcześniej czy później, staje się nawet namiętnością. Myśliwi amerykańscy nie mogą tego pojąć i z politowaniem wzruszają ramionami, gdy się im opowiada, że w Norwegji używa się psów do polowania na łosie. Nie uważają oni tego za prawdziwy sport.

Aby nikt nam nie przeszkadzał w polowaniu, Dennis i ja wstaliśmy wcześniej od innych i podążyliśmy prosto do Góry Łosiowej „Moose Mountain“, zatrzymując się po drodze na wszystkich pagórkach i szczytach, skąd mieliśmy rozległy widok na okolicę i możność wypatrzenia łosia.

Nie uszliśmy zbyt daleko, gdy Dennis lekko dotknął mego ramienia i wskazał mi niewielki szmat lasu nad brzegiem błotniska. Wspaniały łoś samiec stał sam spokojnie, odwrócony od nas i przez szkła wyraźnie mu się przypatrzyłem.

Łopaty jego nie były zbyt silne, więc poszliśmy dalej i na drugiej stronie lasu dostrzegliśmy łoszę ze swem małem. Widocznie spostrzegły nas, bo zawróciły do byka, należąc zapewne do jego stada.

Około południa dotarliśmy do ładnego, małego wydołu, gdzieśmy się zatrzymali dla przekąszenia i tu nadeszli nasi towarzysze. W tym wydole płynął mały strumyk, który trzeba nam było przekroczyć; przeskakując przezeń z kamyka na kamyk, pośliznąłem się i wpadłem do wody, co widząc Indjanie wybuchnęli głośnym śmiechaem, drwiąc sobie z mej niezręczności.

Nad wieczorem, gdyśmy się zbliżali do naszego starego obozowiska u stóp Góry Łosiowej, spostrzegliśmy trzy łosie dążące ku nam z zachodu, a mianowicie byka i łoszę z małem. Ukryliśmy natychmiast konie za drzewami, a ja obrałem dogodne stanowisko do strzału w razie, gdyby łopaty samca okazały się odpowiednie, ale wkrótce przekonałem się, że nie wiele były one warte. Łosza szła ze swym małym naprzód, a byk za niemi wciąż chrząkając i nie zwracając wcale uwagi na otoczenie; przeszły koło nas na odległość około 50 yardów (mila ang.). W końcu klempa spostrzegła konie i biec szybko zaczęła, lecz byk nawet się nie odwrócił, będąc zupełnie nią zajęty.

Gdyśmy doszli do obozowiska, zastaliśmy tam gości: żonę Dennisa z jego małym synkiem, a także starego Indjanina ze swoją żoną i chłopczykiem. Mieli oni z sobą 7 wychudzonych strasznie psów, robiących wrażenie, jakby od dwóch tygodni nic absolutnie nie jadły. Indjanie ci powiedzieli nam, że i oni sami nędznie się odżywiali, głównie jeżowcami; dałem więc im po kawałku mięsa caribou z naszych zapasów.

Gdym się nazajutrz rano obudził, było zupełnie ciemno i dziwna cisza panowała na dworze, o czem się przekonałem, gdym odsunął brzeg namiotu. Las pokryty był jakby białym płaszczem, gdyż śnieg przez tę noc spadł na 4 cale i wciąż sypał jeszcze grubemi płatami. W taką pogodę polowanie staje się niemożliwem, i Dennis nie zdradzał bynajmniej ochoty do opuszczenia namiotu, zwłaszcza mając swych gości. Skorzystałem z tego i wybrałem się z wizytą do obozu Indjan i odwiedziłem panią Dennis, młodą, ładną kobietę, a małe włosiaste jej dziecko bardzo miło patrzało na mnie dużemi swemi piwnemi oczyma. Stary Indjanin siedział, pracując nad sporządzeniem pary śniegowców, używając do tego dziwacznie zagiętego noża, powszechnie używanego przez Indjan.

W przeciwieństwie do szerokich a krótkich śniegowców „raquettes“ Kanadyjczyków francuskich ze wschodniej Kanady, śniegowce Tahltanów posiadają prawie 80 cali długości, a zaledwie 12 cali szerokości, wygjęte zprzodu do góry, jak norweskie „ski“. Mają one pośrodku grube a po bokach cieńsze rzemienie.

Znalazłem, że te długie a węższe śniegowce wygodniejsze są o wiele od szerokich i poleciłem Indjaninowi zrobić dla mnie taką parę w czasie mego pobytu w okolicy.

Będąc biegłym w używaniu nart, nie mogę w żaden sposób zgodzić się na to, że śniegowce, zawsze w jakiby niebądź śnieg, są równie dogodnym środkiem lokomocji w zimie, jak tamte.

Zawsze było zagadką dla mnie, jak można używać tych szerokich śniegowców na stromych pochyłościach górskich, a Pilling wytłómaczył mi, że przywiązuje się zwykle w tych wypadkach kilka śpiczastych kawałków drzewa, lub lepiej jeszcze końce rogów kozłów, z każdej strony śniegowca; pomimo to, wydaje mi się wielką sztuką móc utrzymać się wtedy na nogach.

Wiele nastąpiło monotonnych, niepogodnych dni, które spędzać musiałem w obozie. Nie miałem wcale książek z sobą, a rozmowy z moim Indjaninem były z konieczności raczej ograniczone, więc gdy ponaprawiałem swoje ubranie i wyczyściłem broń, nie miałem nic innego do wyboru, jak obwinąć się dobrze kołdrą i drzymce się w takie dnie oddawać.

Wieczorem śnieg przestał padać, zwolna gwiazdy zaczęły się pokazywać i zrobiło się zimno, a gdy nazajutrz wysunąłem głowę z namiotu, ujrzałem cudowny zimowy

poranek. Gałęzie drzew uginały się pod warstwą śniegu, a góry lśniły zdaleka oblane słońcem. Po krótkiem śniadaniu wziąłem z sobą Dennisa i Willy i wspięliśmy się na szczyt Łosiowej Góry. Na nim śnieg był głęboki, tak, że ciężko nam było chodzić; przez długi więc czas siedzieliśmy, spoglądając na rozległy las u stóp naszych i na długie bagniska, — niceśmy jednak nie wypatrzyli. O kilka kilometrów na północ, mały pagórek, zwany przez Dennisa „Look out mountain" t. j. „Wejrzenie górskie" wysuwał się z gęstwiny; tameśmy się teraz skierowali i znaleźliśmy się w środku najpiękniejszych łosiowych terenów.

(C. d. n.)



Rogacz ubity w lipcu bież. r. w Rzemieniu przez Antoniego Szaszkiewicza
Wysokość 28·30 cm. Rozpiętość 14 cm.

Inż. WALERY MARYAŃSKI gen. bryg.

Bandytyzm a nasi gajowi

Niema prawie numeru dziennika, w którymby nie było notatki na temat starcia gajowych, polowych, stawniczych oraz funkcjonarjuszów służby lasowej z kłusownikami, złodziejami drzewa i t. p.

Jak smutną rolę grają tu ci zaprzysiężeni stróże prawa i porządku publicznego jedynie dzięki niedomaganiu naszych ustaw a właściwie zupełnemu brakowi ochrony prawnej na korzyść tych ludzi! Przytoczę tu kilka przykładów, zaczerpniętych z dwóch numerów gazet.

W Łukawicy zostaje polowy napadnięty przez bandytów, obity, obrabowany ze wszystkiego — nawet z odznaki służbowej, (która się przecież przyda bandytom do symulowania zaprzysiężonego strażnika).

Sprawcy uszli — dotąd niewyśledzeni.

W Samborskiem zatrzymują dwaj gajowi dwóch chłopów na kradzieży drzewa. Jeden ze złodziei łapie kół, wali nim po głowie jednego z gajowych, który pada na miejscu, i zamierza tym, tak skutecznym zabiegiem i drugiego gajowego unieszkodliwić. Ten ostatni jednak, widząc los swego towarzysza, zrywa dubeltówkę z pleców i strzałem śrutu w twarz kładzie trupem złodzieja.

Za to zostaje aresztowany, broń skonfiskowana — a on sam odstawiony do więzienia.

Pan Br., mający w L. duże gospodarstwo rybne, cierpi ogromnie wskutek masowych najazdów złodziei ryb, którzy zbrojni w broń palną, nawet włokami (!) operują — kradnąc ryby cetnarami. Miejscowi stawniczowie nie mają odwagi stawiać czoła tej organizacji bandyckiej. Do spółki z p. B. przystępuje p. R., również właściciel dużych stawów na Śląsku — a w przypuszczeniu, że odważna i na innym „sosie" wychowana straż, sprowadzona z zachodu — potrafi skutecznie ukrócić ten bandytyzm — osadza tam swego bardzo dzielnego stawniczego — Ślązaka. Nie długo danem mu jednak było sprawować ten urząd, bo do kilku dni został przez bandytów z zasadzki zastrzelony. Sprawca — niewyśledzony! Wobec takich, iście albańsko-macedońskich stosunków zrezygnował p. R. ze spółki — a bandyci stawowi, odniósłszy „zwycięstwo" — eksploatują dalej stawy w L., uważając je za swoją „domenę".

Dozorca polowania gminnego w Czyżowie, pow. Złoczów — widząc dwóch kłusowników ze strzelbami, zaczął się do nich zbliżać celem odebrania broni, względnie aresztowania ich. Gdy go kłusownicy spostrzegli, nie zadali sobie nawet trudu, by uciekać, lecz położywszy się na najbliższym pagórku, utworzyli „gniazdo uporu" i rozpoczęli całkiem spokojnie ostrzeliwać gajowego z karabinków. Gajowy dał do nich wprawdzie dwa strzały — nb. bez skutku — ale wobec tego, że kłusownicy dalej strzelali — uznał za stosowne „wycofać się w przyśpieszonem tempie" z tej oryginalnej „zabawy towarzyskiej" i tak się tem przejął, że nawet nie miał odwagi donieść o tem Policji Państwowej! Bohater!

Ale żarty na bok!

Czy taki stan ma trwać nadal? Czy nasze nieudolne, do ducha czasu, a raczej do obecnego stopnia rozwoju, jaki bandytyzm osiągnął — zupełnie niedostosowane ustawy będą nadal ten rozwój protegowały?

Czas najwyższy, aby kompetentne czynniki państwowe tym problemem się zajęły. Jako przykład godny naśladowania przytoczyć można Niemcy i Rumunię — gdzie bandytyzm był we większym niż u nas rozkwicie — a gdzie straż, wyposażona w odpowiednie prawa z jednej — a sądownictwo ze swojemi karami drakońskiemi z drugiej strony (kilkuletnie więzienie bez owego nieszczęsnego „zawieszenia" kary) zdołały skutecznie ukrócić to bezprawie.

Możeby temat ten zechcieli Sz. P. Członkowie M. T. Ł. — prawnicy z zawodu — poruszyć na tegorocznem Walnem Zgromadzeniu, by jakąś poważną akcję w tym kierunku zapoczątkować.

Nie należy bowiem żadną miarą dopuścić, by pojęcie bezkarności za tego rodzaju zbrodnie, nabrało cech „prawa zwyczajowego" — bo wtedy akcja sanacyjna będzie już bardzo trudna.

Ryków, sierpień 1930.



Dr. H. Malsburg

Krótkie Repetitorium dla młodych i początkujących myśliwych

Dla podtrzymania dobrego stanu zwierzyny i uniknięcia zmniejszenia się tejże, koniecznem jest zważanie, by przez bezkrytyczny i nierozważny odstrzał nie nadwyrężyć równowagi potrzebnej do jej rozmnoży.

Tą równowagą jest stosunek obu płci a każdemu hodowcy i myśliwemu powinno zależeć na tem, aby ilość ich była taką, jaka każdemu rodzajowi zwierzyny do pomyślnego mnożenia się jest najkorzystniejszą.

Dlatego też przy każdego rodzaju polowania prawdziwy myśliwy tak we własnym, jakoteż ogólnym interesie ochrony zwierzyny, powinien oszczędzać te sztuki, które są do rozmnoży potrzebne a odstrzeliwać te, które są zbyteczne, nadliczbowe, względnie nawet wręcz szkodliwe, w przeważnej części samce ale również czasem i samice.

Kwestją ochrony samic niektórych zwierząt (ssaków i ptaków) zajęło się już od dawna prawodawstwo łowieckie, zabraniając zabijania tychże, jak również młodych zupełnie lub w pewnych porach roku, jak np. samic i cieląt łosia, jelenia, sarny, daniela, a z ptaków głuszcza, cietrzewia, jarząbka i bażanta a ostatnio i indyka.

Myśliwy winien jednak prawo to we własnym interesie dobrowolnie rozszerzyć i nałożyć na siebie pewne więzy i obowiązki, które tylko na dobre wyjść mu mogą i muszą, gdyż niezawodnie przyczynią się one do podniesienia ilości i jakości zwierzostanu.

Najważniejszą rzeczą jest zatem ochrona samic, jako istot wydających na świat potomstwo a narażanych ponadto przy pełnieniu obowiązków macierzyńskich na niebezpieczeństwo życia, stając się łatwą zdobyczą wszelakiego rodzaju wrogów i ponosząc śmierć lub kalectwo w czasie lęgu lub przez rozmaitego rodzaju wypadki w walce z drapieżnikami w obronie swego potomstwa. Pewien procent samic ginie również z powodu nieprawidłowego porodu lub jego szkodliwych komplikacji.

Wreszcie ochrona samic z tego względu jest ważną, iż stają się one z latami coraz bardziej doświadczone, ostrożne a ptaki płodniejsze.

Nie wszystkie gatunki zwierząt są jednako płodne. Jedne gatunki — a mam tu ssaki na myśli — płodzą raz lub kilka razy do roku po kilka młodych — inne tylko raz do roku po jednem lub kilka.

Rozpoznawanie płci nie zawsze jest łatwem a czasem niemożliwem. W braku zewnętrznych cech posługiwać się musimy „ex jurantibus" innemi charakterystycznemi cechami zachowania się, trybu życia i zwyczajów zwierząt. Z grubszej zwierzyny, u której płci „na dystans" rozróżnic się nie daje, są niedźwiedzie. Posługiwać się tu musimy zatem innemi dowodami a są niemi „dzieci" „enfent terrible", które towarzyszą matce przez dwa lata, pierwszego roku jako sysaki, drugiego jako piastuny. Niedźwiedzie rodzą się bardzo małe, długo są niedołężne i rosną powoli, przeto też przez czas długi potrzebują opieki matki, bez której obejść się nie mogą i bez której marnieby zginęły. Dlatego też słusznie najnowsza ustawa łowiecka matki, opiekujące się młodemi niedżwiadkami wzięła w ochronę i strzelać ich nie wolno. Od pomyłki zastrzelenia niedźwiedzicy ochronić może zatem towarzyszące jej potomstwo — a dalej skrzętne i baczne tropienie, obserwacja barłogu, czy chodzi sama czy z młodemi i t. p. Strzelanie zatem do niedźwiedzia na chybił trafił, gdy tylko łeb swój okaże, nie powinno mieć miejsca, gdyż można bardzo łatwo osierocić i narazić na śmierć niechybną niedołężne niedźwiadki, pozostałe nie bacznie gdzieś w tyle za matką.

Płci dzika również z wyglądu a do tego jeszcze w gęstwinie i w szybkim ruchu rozpoznać nie można. Tu także pomocniczą rzeczą być może towarzystwo warchlaków, wychudnienie karmiącej maciory, obwisłe sutki i t. p. Podczas gdy odyńce przez 10 miesięcy żyją samotnie i trzymają się zdala od stada — to locha trzyma się towarzystwa złożonego przeważnie z jej własnego a później i przybranego potomstwa — ona pierwsza stado prowadzi i niem kieruje. Do pierwszej a tembardziej większej sztuki strzelać się zatem nie powinno, gdyż jest to napewno maciora-matka i przewodniczka stada. Odyniec wyróżnia się smuklejszą ale i dorodniejszą postacią, przód ma wysoki, łeb i przód potężny, grube, długie „pióra" na karku i grzbiecie dodają mu wzrostu a błyskające z pyska kły srogości i respektu. Dopiero w czasie lochania się z końcem listopada i w grudniu zbliża się odyniec do stada i w niem rej wodzi, odpędzając od lubej natrętnych a słabszych konkurentów i staczając z nimi krwawe walki.

Co do sarn, to młodemu i niedoświadczonemu a zapalonemu myśliwemu wydarzyć się może, że w czasie polowan z nagonką — o ile wówczas kozły strzelać dozwolono — palnie do pierwszej większej sztuki rudel wiodącej, sądząc że to kozioł być musi. Przeciwnie — rudel

prowadzi zawsze stara koza, za nią idzie zwykle para najmłodszego jej pokolenia a następnie dopiero trzeci lub czwarty kozioł. Zresztą kozła poznaje się jedynie pewnie po pędzlu, który jest widoczny nawet w najszybszym pędzie. Dalsze mniej widoczne nieraz cechy — zwłaszcza jeśli kozioł jest młodszy, lub mylkus, są małe parostki, gdyż mogą być zasłonięte z boku „łyżkami". Zdarzają się jednak — lecz nb. rzadko — jako anormalne — parostki i u kóz — są one jednak mało guzowate i słabo rozwinięte. Silniejsza budowa ciała, grubość szyi, trójkątna szeroka głowa, szerszy talerz — jaka cechuje rogacze jest częstokroć a zwłaszcza w szybkim biegu — w gąszczu lub w czasie śnieżycy, rzeczą złudną, niepewną i na tych cechach opierać rozpoznanie kozła — jest niebezpiecznie. Najpewniejsze rozpoznanie z niedalekiej odległości jest po pędzlu i po parostkach a z dalszej przez dobrą lunetę.

Płci zająca rozpoznać nie można. Barwa sierści nie gra roli. W jednej i tej samej kniei lub polu spotyka się zające i szare i ceglaste i czarno-przyproszone i nieraz zupełnie siwe, i mniejsze i większe, które są i samcami i samicami.

Płeć rozróżnić się daje jedynie ze sposobu zachowania się w czasie pędzenia w kniei lub w polu. Samce (gachy) wstają i wyrywają przed nagonką wcześnie i idą ostro prosto przed siebie. Samice dosiadują w kopnie dłużej, zrywają dopiero prawie z pod nóg, zawracają w krótce w tył i starają się przebić przez nagonkę mimo piekielnego wrzasku i kijów naganiaczy. O ile się między nich wstecz nie przedrą, to ciągle kluczą lub przysiadają i na linję strzelców tylko z trudem wielkim wyprzeć je można. Dlatego też najracjonalniej do takich opornych zajęcy nie strzelać, gdyż są to zawsze samice. Cechą samic jest również chronienie się w jesieni przed natarczywością nigdy sytych amorów i natrętnych gachów, do gąszczy i lasów. Polowanie na czarnej stopie w kniei, dają na pokocie conajmniej 80% samic, to znaczy rocznie przeciętnie około 30% większej straty samic, niż samców, co się w następnych latach fatalnie na rozmnoży zajęcy odbić musi, licząc, że każda samica wydaje na świat przeciętnie dziesięcioro młodych rocznie.

W przeciwieństwie do czworonogów, których płeć nie różni się ubarwieniem lecz np. tylko rogami, kłami, u ptactwa w przeważnej części natura obdarzyła samce okazalszym strojem, zwłaszcza po wypierzeniu jesiennem. Tak naprzykład samce kaczek wszystkich gatunków noszą przez zimę i wiosnę szatę nadzwyczaj strojną, t. zw. godową — podczas gdy ich samice pozostają zawsze w jednej i tej samej — jak rok długi — szarej, skromnej sukience.

Odróżnienie płci jest zatem od czasu wypierzenia się jesiennego do późnej wiosny — u kaczek bardzo łatwe, natomiast w lecie aż do początku jesieni trudne. Samica zdradza się zwykle przy podnoszeniu się z wody głośnem kwakaniem, kaczor conajwyżej cichem chrapliwem rzężeniem.

W czasie zalotów wiosennych porywa z wody pierwsza kaczka za nią kaczor — taki sam porządek jest i w locie takiej parki. Po spłoszeniu całego stadka będącego jeszcze pod opieką macierzyńską, podrywa się pierwsza starka i to jak wspomniałem — z głośnem kwakaniem.

U kuropatw nie trudno jest na niewielką odległość rozpoznać przez cały rok koguta od kury po jego żywszem czerwonawem odcieniu upierzenia a już najbardziej po wyraźnym brunatnym rysunku podkowy na piersiach. Gdy starka przewodzi młodemu stadku, w razie grożącego niebezpieczeństwa podrywa się z głośnem czyrykaniem, co powoduje pozostałe do zdążania za nią na skrzydłach o ile są już dostatecznie lotne lub na nogach, gdy latać jeszcze nie umieją.

W czasie lęgu żyją kuropatwy parami. Bezżenne samczyki, którym nie stało małżonek, łączą się najczęściej w pary i tak je latem w polu spotkać można. Przed zimą przyłączają się do obcych stadek i przebywają w nich do wiosny, póki stadko znów na parki się nie rozdzieli. Polując na kuropatwy, powinno się odstrzeliwać przeważnie młódki a nigdy starej kury lub starego koguta, wodzących stado i dbających o jego bezpieczeństwo.

Ponadto starsze kury znoszą więcej jaj niż młode, a zatem większy jest od nich przychowek w latach następnych.

Płci słonek według upierzenia rozróżnić nie można. Jedynie z głosu, jaki w czasie wabienia wydają, domyśleć się można, że pierwszą lecącą i świszczącą jest samiczka a drugą chrapiącą — samczyk*). Tak przynajmniej dotychczas twierdzą myśliwi. Strzelając na ciągu wiosennym słonki i chcąc ubić samczyka, należy strzelać tylko chrapiącego ptaka, bo ten ma być samcem.

Bażanty koguty wszystkich ras, różnią się wspaniałem złocistem lub srebrzystem, mieniącem się upierzeniem i długością ogona, od szarych mniejszych o krótszym ogonie kur.

Głuszce, cietrzewie i jarząbki samce (koguty), różnią się tak wybitnie od samic (kur), że nawet w najszybszym locie z łatwością dają się odróżnić — więc pomyłka jest trudna i chyba zła wola w zastrzeleniu ich kur gra rolę. Strzelanie młodych cietrzewi t. zw. barwików przed psem wychodzi na szczęście już z mody a może w przyszłej ustawie i strzelanie kur cietrzewich (cieciorek) w województwach północno - wschodnich będzie jako nieracjonalne — wzbronione.

Z ptactwa błotnego jedynie bataljony w szacie godowej, raczej bojowej, wyróżniają się wybitnie od szarych samiczek. Krzyki samce odróżnić można tylko w czasie toków po ich charakterystycznem bębnieniu sterówek i głośnem wabieniu „taki, taki, taki", co jednak w czasie sezonu polowania w lecie, jest bezprzedmiotowem, gdyż po upierzeniu płci poznać nie można i ptaki już nie wabią.

Przepiórka samczyk różni się od samiczki bardziej

*) Słonka na ciągu chrapie i świszcze bez względu na płeć. Red.

rdzawym kolorem piórek — lecz w czasie lotu rozpoznanie jest trudne i prawie niemożliwe.

Kto zatem kierując się rozpoznaniem płci, planowo i celowo reguluje jej ilość w miarę potrzeby i warunków, ten prowadzi dobrą i racjonalną gospodarkę łowiecką. Bezkrytyczne strzelanie wszystkiego, co pod lufę wpadnie, choćby nawet w czasie dozwolonym lub dozwolonej płci, ten prowadzi gospodarkę rabunkową, która czy prędzej czy później zawieść musi i deficyt spowoduje.

Do tego jednak dopuścić żadną miarą nie powinniśmy. Jeśli wolno nam korzystać z darów Bożych, to korzystajmy w miarę, rozumnie i z myślą na przyszłość. Nie przykładajmy ręki do zniszczenia i zagłady tego, co nie jest naszą wyłączną własnością — lecz własnością całej ludzkości i następnych pokoleń, aby te kiedyś dobre o naszem włodarstwie wydały świadectwo.



Jan Zmuda, długoletni wierny członek M. T. Ł. włościanin z powiatu wadowickiego, zamieszkały stale w Chicago, skąd utrzymuje żywy kontakt z Towarzystwem.

Komunikaty

„Sokół"

Nie od rzeczy będzie poinformować Braci w Św. Hubercie, że Państw. Wytwórnia Prochu w Zagożdżonie, wyrabiając obecnie już na większą skalę śrutowy bezdymny proch myśliwski — znany dotąd pod nic nie mówiącym znakiem fabrycznym „B-30", nadała mu teraz nazwę oficjalną „Sokół", pod którą sprzedaje go, wzgl. naboje nim nabite, Warszawska Spółka Myśliwska, mająca generalne i wyłączne zastępstwo na całą Polskę.

Nazwa „Sokół" przypomina nam przedwojenny rosyjski proch myśliwski, który swego czasu szczególnie w b. zaborze rosyjskim miał bardzo dobrą, istotnie zasłużoną markę. Należy żywić nadzieję, że i polski „Sokół" w najkrótszym czasie osiągnie supremację w Polsce a do tego uprawniają już w dużej mierze pochlebne opinje, jakie o nim wydali nasi myśliwi na podstawie rezultatów osiągniętych w bieżącym sezonie na błotnych polowaniach.

Osobiście odniosłem także bardzo dodatnie wrażenie, bo z 4 krzyżówek strzelanych śrutem 2½ mm na wcale przyzwoite odległości, wszystkie na miejscu zostały a z 10 dotąd ubitych krzyków numerem 2¼ mm zastrzeliłem 4 sztuki na zwyż 50 kroków. Lepszych rezultatów trudno chyba żądać.

Jedną tylko wadę — oprócz wysokiej ceny — mają dotąd naboje tym prochem nabite — mianowicie, że ich trudno w handlu dostać; zdaje się, że są rozchwytywane. Jest to jednak — że tak powiem — dodatnia wada i łatwa do usunięcia, bo im intensywniejszy będzie popyt na ten nasz proch — tem większe ilości będzie mogła P. W. P. produkować — a co za tem idzie — cena jego, już dziś o 20% niższa od najlepszych zagranicznych prochów — jeszcze niższą będzie.

Inż. Walery Maryański, gen. bryg. w s. s.

Zarząd Wielkopolskiego Związku Myśliwych podaje PP. Członkom do wiadomości, że w dniach 8 **i 9 września b. r.**, odbędzie się na terenie majętności Iwno pod Kostrzynem, Premjowy Konkurs Wyżłów dowodnych i młodych oraz tropowców, jak jamniki i t. p. (podać wiek).

Premjowanie nastąpi według ilości punktów uzyskanych w egzaminie z pracy leśnej, ciętości, pracy wodnej, pracy polnej i apelu.

PP. Członkowie, właściciele hodowli psów myśliwskich i zawodowi treserzy, chcący wziąć udział w konkursie, winni zgłoszenia swe z dokładnym opisem wyżła (wiek, maść, wysokość, owłosienie etc.) oraz z określeniem pochodzenia, o ile są w posiadaniu rodowodu, również z dołączeniem tegoż, nadesłać najpóźniej do dnia 25 sierpnia b. r. do sekretarjatu Wielkopolskiego Związku Myśliwych, Poznań, ul. Fr. Ratajczaka 17 II. p.

Równocześnie zaznacza się, że **psy niedokarmione** nie zostaną do konkursu dopuszczone.

Jako nagrody dla wyżłów dowodnych przewidziane są 4 nagrody pieniężne w wysokości 300 zł., 200 zł., 150 i 50 zł., medale oraz listy pochwalne, dla wyżłów młodych medal srebrny, bronzowy i listy pochwalne.

Do Komisji Sędziowskiej należeć będzie grono senjorów naszego łowiectwa i wybitnych znawców psów myśliwskich, oraz Zarząd Związku.

Konkurs rozpocznie się o godz. 9,30 rano. Środki lokomocji z stacji kolejowej w Kostrzynie do Iwna, miejsca przeznaczenia konkursu, są zapewnione.

Goście przybywający na konkurs samochodami, otrzymają w tym dniu bliższe szczegóły co do miejsca konkursu od strzelca z białą opaską na lewem ramieniu na stacji w Kostrzynie.

W razie nie otrzymania więcej jak 6 zgłoszeń kandydatów do konkursu, takowy się nie odbędzie.

Za zarząd:

Sekretarz: (—) *W. Bronikowski*

Prezes: (—) *K. Chłapowski*

Państwowa Wytwórnia Prochu i Materjałów Kruszących

W związku z artykułami p. Kaz. Wysockiego oraz Gen. Walerego Maryańskiego, które znalazły się w „Łowcu", — prosimy o zamieszczenie następującego oświadczenia:

„Nie uważamy za stosowne zareagowanie na artykuł p. K. Wysockiego umieszczony w Nr. 12 pisma WPanów, ze względu na obraźliwą formę, w której p. Wysocki pisze o dyrekcjach i członkach Rad Zawiadowczych przedsiębiorstw państwowych. Zresztą artykuł dotyczy głównie fabryk, wyrabiających naboje myśliwskie.

Odnośnie do prochu myśliwskiego bezdymnego marki „Sokół" nadmieniamy, że ustanowiliśmy cenę detaliczną w sprzedaży, w opakowaniu w pudełkach po 125 gr zł. 4,—, podczas gdy proch Rottweilerowski tej samej jakości co nasz proch „Sokół" znajduje się w sprzedaży w Niemczech w cenie Mk. niem. 2,—, co jest zł. 4,26 za 125 gr. Fakt ten, sam za siebie przemawia i nie potrzebuje komentarzy.

Proch Rottweilerowski, importowany do Polski, wynosi w sprzedaży detalicznej zł. 46,— za 1 kg w opakowaniu 125 gr (ze względu na wysokie koszty cła, gdyż cło opłaca się od opakowania łącznie ze skrzyniami brutto za netto) a nasz proch kosztuje zł. 32,— za 1 kg.

Podana cena prochu Rottweilerowskiego przez Gen. Maryańskiego w wysokości Mk. niem. 10,— jako cenę sprzedażną w Niemczech, polega prawdopodobnie na omyłce.

Dodaćby jeszcze należało, że firma Rottweil jest przedsiębiorstwem, fabrykującym proch myśliwski już od lat, więc wyrób jego powinien kosztować fabrykę taniej, niż P. W. P. i M. K. w Zagożdżonie. Pomimo to określiliśmy cenę poniżej wewnętrznej ceny sprzedażnej prochu Rottweilera w Niemczech.

Z poważaniem

Państwowa Wytwórnia Prochu i Materjałów Kruszących

Zagożdżon (pow Kozienice.)

Jesienne próby polowe wyżłów

Towarzystwo Hodowli Psów Myśliwskich urządza doroczne próby polowe wszelkich ras wyżłów, zapisanych lub mających prawo być zapisanymi do ksiąg rodowych, w dniach 21, 22 i ewentualnie 23 września r. b. na polach dóbr Wilanów. Próby będą się odbywały według zwykłego regulaminu Towarzystwa.

Dla niemieckich ras psów, które będą próbowane oddzielnie, ustanowiono odmienną punktację.

Nagrody będą udzielane w postaci dyplomów Towarzystwa I, II i III stopnia.

Do jury dla psów ras angielskich będą zaproszeni pp. Stolarow, Przychodźko i Moszkowski z prawem kooptacji, zaś dla psów ras niemieckich pp. Aleksander Knothe, dr. Arendt i Antoni Unrug, również z prawem kooptacji.

Do Komitetu Wykonawczego zaproszono na gospodarza p. Antoszewskiego, na kierownika prób p. Czerskiego, na sekretarza p. Kamińskiego i na zastępcę sekretarza p. Pińskiego. Zgłoszenia należy kierować do Sekretarjatu Polskiego Związku Stow. Łow. (Warszawa, Nowy Świat 35, lokal Polskiego Tow. Łowieckiego). Tam również, w godz. między 5 a 7 wieczorem można otrzymywać wszelkie informacje i blankiety.

Zgłoszenia przyjmowane będą do ostatniej chwili również na miejscu, do dnia prób, przed ich rozpoczęciem.

Wyjazd z Warszawy w dniu 21 września pociągiem kolejki Wilanowskiej lub samochodami. Zbiórka na dworcu kolejki.

Początek prób o godz. 9. PP. właściciele psów, biorących udział w zawodach, proszeni są o przybycie przed godz. 7 rano.



Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85-16